

Numer katalogowy - 00046
Halina Korecka - **Gniazdo**
Opracowanie - [Adam Ciarcinski](#)

Kiedy sięgam myślą wstecz do czasów wczesnego dzieciństwa, widzę bujny ogród w pełni ukraińskiego lata i znajomy dom, słyszę daleki gwizd lokomotywy. Mieszkaliśmy wtedy w Żmerynce i tam właśnie urodził się Janek. Była to niewielka stacja kolejowa, gdzie ojciec pełnił funkcję naczelnika depa i odcinka Kolei Południowo-Zachodnich.

Ojciec był synem warszawskiego księgarza i wydawcy podręczników naukowych, Bernarda Lesmana. Ukończył Instytut Technologiczny w Petersburgu i rozpoczął pracę w Zdołbunowie. Po nieudanym pierwszym małżeństwie i rozwodzie żył samotnie siedem lat. W 1892 roku przyjechał do Warszawy, gdzie miał liczną rodzinę i przyjaciół, i zaczął rozglądać się za nową towarzyszką życia. Przedstawiono go pannie jak na owe czasy nie pierwszej młodości, przekroczyła bowiem trzydziesty rok życia.

Inteligentna i dowcipna, odznaczała się również urodą. Ojciec miał wtedy czterdzieści dwa lata i było mu do twarzy z przedwcześnie posiwiąłą czupryną i żywymi, ciemnoszarymi oczami. Był wykształcony i odcytany, a ujmujący sposób bycia i wrodzona delikatność zjednywały mu powszechną sympatię. Oboje przypadli sobie do serca, a że urlop ojca dobiegał końca, szybko doszli do porozumienia. Ślubu udzielił im pastor Loth. I tak matka, która bywała w Paryżu, a mieszkała dotąd w Warszawie, od razu zdecydowała się jechać z mężem do dalekiego, nieznanego kraju i zakopać się na głuchej prowincji, gdzie wszystko było jej obce. W rezultacie matka nigdy nie żałowała tego kroku. Małżeństwo okazało się nad wyraz szczęśliwe. Oboje rodzice kochali się gorąco i dozgonnie.

Zgodnie z wymogami pracy ojciec musiał przenosić się z miejsca na miejsce. Rodzice wszędzie czuli się dobrze i szybko zawierali znajomości z miejscową elitą. Pracownicy szanowali i lubili ojca, gdyż był ludzki i sprawiedliwy. Nie tolerował jedynie pijaków, a pijanych maszynistów zwalniał z pracy bezapelacyjnie.

Miałam trzy lata, gdy pojawił się w rodzinie braciszek. Z jego wczesnego dzieciństwa pozostał mi w pamięci tylko małe wózek, zawzięcie ssący własną nogę. Jeśli mu wkładano na nogi trzewiczki, także usiłował je ssać.

Ze Żmerynki przeniesiono ojca do Wielkich Łuków w Pskowskiej guberni, a następnie do pobliskich Nowo-Sokolników. Co parę lat wnoszono do domu wielkie kosze i skrzynie, do których pakowano nasze meble i rzeczy. Zamieszanie i harmider, towarzyszące przeprowadzce, stanowiły dla nas wielką atrakcję. Spodziewaliśmy się nowych znajomości i nowych wrażeń wynikających ze zmiany miejsca zamieszkania.

W Wielkich Łukach mieszkaliśmy w domu z ogrodem pełnym kwiatów, za nim był sad owocowy, a przed domem biegła ulica, spadająca łagodnie ku rzece Łowat'. Ulica w czasie deszczu pokrywała się grząskim błotem prawie nie do przebycia. Żaby wtedy gromadnie wylegały na drogę i tworzyły na niej ruchomą powierzchnię. Ani Jaś, ani ja nie czuliśmy do nich odrazy. Braliśmy do rąk małe żabki i urządzaliśmy wyścigi, obserwując, czyja żabka pierwsza dojdzie do mety. One jednak nie dbały o reguły gry i zamiast skakać w kierunku mety po linii prostej, kicały na boki i psuły nam całą zabawę. W zimie, gdy wody Łowat' skuwał lód, jeździliśmy na przeciwległy brzeg rzeki rozłożystymi saniami, przytuleni do rodziców i okryci baranicą. Niebo było ciemne, roziskrzone gwiazdami, dzwoneczki u sań dźwięczały, pęd powietrza tamował oddech, a Jaś aż piszczał z radości.

Często odwiedzaliśmy mieszkającą po drugiej stronie rzeki zaprzyjaźnioną z nami rodzinę doktora Jakuba (nazwisko). Doktor był społecznikiem i bezpłatnie leczył okoliczną biedotę. Gdy wybuchła rewolucja w 1905 roku, bandy "czarnej sotni", które urządzały żydowskie pogromy, rabowały i często mordowały bezbronnych, dotarły również do domu dra Jakuba. Hałastrza zaczęła dobijać się do drzwi, wykrzykiwać obelżywe wyrazy i pogróżki. Wtedy wyszedł doktor i przemówił do nich. Przypomniał, jak ich wraz z rodzinami ratował w chorobie, apelował do ich sumienia i rozsądku. To zrobiło na motłochu wrażenie. Mitygowani przez swoje kobiety, jeszcze jakiś czas się odgrażali, w końcu się rozeszli. W powieści pt. "Gdy owoc dojrzewa" Janek wiernie opisał to wydarzenie. Historia jego miłości do siedemnastoletniej córki doktora, Poliny, jest oczywiście zmyślona, gdyż Jaś w tym czasie miał dopiero sześć lat i bawił się z młodszymi dziećmi doktora. Książka w polskim oryginale dotarła do mieszkającej w Moskwie, sędziwej już Poliny. Tłumaczono jej na żywo ustępy dotyczące jej rodziny. Wrażenie było ogromne - zdumienie, wzruszenie i radość. Polina napisała do Janka i przysłała mu zdjęcie rodziny Jakubów z tamtego okresu, na którym to zdjęciu Janek również figuruje. Później jakiś

czas trwała ożywiona wymiana listów między nią i Jankiem. Listy te zachowały się do dziś. Rodzice bardzo tęsknili za krajem i swoimi bliskimi. Od czasu do czasu jeździli z nami do Warszawy z potrzeby serca, aby nie tracić kontaktu z Polską i rodziną i umacniać w nas poczucie polskości. Poznaliśmy więc Warszawę i sporą rodzinę - zarówno ojca, jak i matki.

Obydwie siostry matki mieszkały w domu przy ul. Czackiego 8. Ciotka Aniela i jej mąż Benedykt Bormanowie okazywali nam dużo serca i gościnności. Ich dzieci - Antek i Zosia, jak również syn drugiej ciotki, Marii - Kazio, byli mniej więcej w naszym wieku. Razem spędziliśmy wiele miłych chwil na wspólnych grach i zabawach. Mimo całej dobroci ciotki Anieli, Jaś nie żywił do niej sympatii. Zdarzyło się bowiem, że podczas podwieczorku zauważył w kakao znienawidzony przez siebie kożuch, wyjął go palcami i wrzucił do kubka Zosi. Ciotka zamknęła go za to w łazience. Przez długie lata Janek nie mógł jej tego zapomnieć.

Wuj Benedykt, człowiek o gołęmbim sercu, kochający dzieci, starał się na różne sposoby umilić nam pobyt w Warszawie. Ale i on naraził się Jasiowi. Bawił go kresowy akcent chłopca, wołał więc na niego żartobliwie "Połusztannikow". Warszawskie pismo satyryczne "Mucha" drukowało w owym czasie serię felietoników, których bohaterem był śmieszny, mówiący łamaną polszczyzną Moskał, niejaki "Połusztannikow". Jaś znosił te docinki z nie ukrywaną irytacją.

Rodzina ojca była nam bardzo bliska, ponieważ łączyła nas miłość do ukochanego przez wszystkich "Olesia", czyli naszego ojca. Dopatrywali się w nas podobieństwa do niego, jak również rozmaitych zalet. Wszyscy oni kochali sztukę i piękno, w ich otoczeniu można było spotkać znanych malarzy, poetów i inne interesujące osobistości. Siostra ojca, Gustawa, była żoną adwokata Seweryna Sunderlanda, powstańca z 1863 roku. Miała czworo dzieci: Kazimierz i Rudolf byli wtedy inżynierami, Wanda - żoną adwokata Jana Fidlera, a Celina - malarką pełną temperamentu i bardzo postępową. Cieszyła się ona w rodzinie dużym autorytetem. Janek, mimo różnicy wieku, bardzo się z nią przyjaźnił i ulegał jej osobowości. Tam też pojawiał się często bratanek ojca, syn Józefa Lesmana, Bolesław Leśmian. Janek Ignął do niego jak do starszego brata i przewodnika po krainie poezji.

Za naszej bytności w 1905 roku w Warszawie często bywaliśmy u Fidlerów. Jaś miał wtedy siedem lat. Jan Fidler bardzo lubił chłopca, brał go na kolana i przekomarzał się z nim wesoło. Potem otwierał przepaściste szuflady starego biurka i pozwalał mu w nich grzebać, a nawet wybierać sobie niektóre przedmioty, jak: resztki ołówków, nalepki, jakieś pudełeczka, gumki i stałówki. Wszystko to były dla Jasia niezwykle cenne rzeczy. Napychał sobie kieszenie tymi rupieciami, a w domu rozkładał "skarby" przed Antkiem i Zosią. Wspólnie szacowali je według siebie, tylko wiadomych kryteriów, bawili się w sklep i zawierali transakcje zamienne.

Gdy nadeszła Wielkanoc, zostaliśmy zaproszeni na świąteczny obiad do ciotki Gustawy. Przy długim stole zebrała się bliższa i dalsza rodzina. Zjawilo się też kilka osób, których nazwiska z biegiem lat nabierały blasku. Był więc potężny Franc Fiszer - znany oryginał i żarłok, z nieodłącznym filigranowym Leśmianem. Przybył też Antoni Lange. Gdy wniesiono wielki półmisek z indykiem, Fiszer wydał radosny okrzyk: "Ooo, indyk! Czyżby z kaszcanami?" Niestety, kasztanów nie było. Ale od tej pory, ilekroć widziałam nawet zwykłe kasztany, jakie Jaś zbierał w parkach, przypominało mi się zawsze spotkanie z Fiszerem.

Z Warszawy wracaliśmy w powiększonym składzie - matka zaangażowała dla nas bonę, pannę Kazimierę. Była to stara panna, w miarę brzydka, ale miła i sumienna. Uczyła nas różnych robótek, prowadziła na spacer i na ślizgawkę. Czytała z nami polskie czytanki. Z matką mieliśmy lekcje języka ojczystego i początki francuskiego.

Kiedy ojciec wracał do domu po pracy, najpierw pytał o matkę potem zajmował się dziećmi. Uwielbialiśmy ojca bezgranicznie. Gramoliliśmy mu się na kolana, całowaliśmy i głaskaliśmy jego bujną siwą czuprynę. Po wzajemnych czułościach następowały długie pogawędki. Zasypywaliśmy ojca pytaniami na różne tematy, on zaś każdemu z nas odpowiadał chętnie i cierpliwie. Przekazywał nam swoją wiedzę o świecie. Opowiadał o dalekich lądach i ich mieszkańcach, odrębnych obyczajach i wierzeniach. Tłumaczył nam w przystępny sposób niektóre zjawiska z dziedziny fizyki. Słuchaliśmy go z zainteresowaniem i uwagą, a te rozmowy pobudzały naszą wyobraźnię, poszerzały horyzonty i skłaniały do myślenia.

Ojciec był erudyta i posiadał niebywałą pamięć. Miał ogromny zasób wiadomości. Ludzie zwracali się do niego jak do żywej encyklopedii zpytaniami dotyczącymi różnorodnych dziedzin. Historia stanowiła jego hobby. Świat antyczny, średniowiecze, Wielką Rewolucję Francuską, wojny napoleońskie miał w pamięci jakby dopiero przed chwilą o tych sprawach się dowiedział. Świetnie znał łacinę i na każdą okazję jak z rękawa sypał cytatami. Ćwiczenia matematyczne traktował jako rozrywkę. Nic więc dziwnego, że Jaś, obcując z ojcem, wczesnie nabył wiele wiadomości i był umysłowo nad wiek rozwiniętym chłopcem.

Ojciec był nadzwyczaj muzykalny, miał absolutny słuch. Niestety, dawnym zwyczajem tylko dziewczęta uczone muzyki, ojciec więc nie grał na żadnym instrumencie. Cierpiał nad tym ogromnie i

dreńczył go stale głód muzyki. Znał na pamięć arie i uwertury z wielu oper, utwory Chopina i innych kompozytorów. Ponieważ nie miał głosu, więc tylko nucił i podśpiewywał: "param-pam-pam, param-pam-pam". Siedząc na jego kolanach prosiliśmy: "A teraz zaśpiewaj sonatę Beethovena Księżycową... A teraz arię Almavivy..." i ojciec chętnie spełniał nasze życzenia. Janek prawdopodobnie odziedziczył po ojcu muzykalność, co znalazło odbicie w jego twórczości. Zwracaliśmy się do ojca po imieniu i mówiliśmy tak samo, jak matka: "Olu, Oluniu". Zdarzało się, że ktoś krytykował taki przejaw poufałości z naszej strony, upatrując w niej brak respektu. Ale ojciec tylko uśmiechał się łagodnie i wyrozumiale, znał bowiem nasze serca.

Ojciec nie umiał się gniewać. Jeśli które z nas zawiniło, siedział zasępiony, z głową wspartą na rękę i z palcem wciśniętym w policzek. Matka mówiła: "Patrz, jak się tatuś martwi". I to wystarczało, żebyśmy ze skruszonym sercem śpieszyli pocieszyć go i uspokoić, przyrzekając poprawę. Podobnie ojciec zwracał się do nas: "Nie mów tak, bo mamusi będzie przykro". I to (na razie) skutkowało. Gdy Jaś miał cztery lata i coś tam przeskrobał, matka zamknęła go za karę na klucz w pokoju. Zagląaliśmy kolejno przez dziurkę od klucza, co się z nim dzieje. Siedział markotny na ławeczce i dłubał w nosie. Ojciec miotał się w rozterce, lecz nie mógł wypuścić więźnia wbrew woli matki, bo to poderwałoby jej autotypet. Wobec tego ukradkiem wszedł przez okno do pokoju (a był to parter), usiadł obok Jasia i tak razem w milczeniu odbywali karę, aż matka uznała pokutę za skończoną i wypuściła więźniów. Kiedy Jaś był starszy, a poważniejsze wykroczenia wymagały interwencji najwyższej władzy, wtedy wkraczał ojciec i mówił z groźną miną: "Czekaj, czekaj, od jutra wezmę cię w żelazne ręce". I na tym się kończyło.

Między nami a matką, mimo naszej miłości do niej, zdarzały się konflikty. Była w stosunku do nas stanowcza i rygorystyczna, uważała, że spełnianie zachcianek dzieci jest niepedagogiczne. Gorącym pragnieniem Jasia było posiadanie roweru takiego, jaki mieli jego koledzy. Matka twierdziła, że nas na to nie stać. I biedak, zrezygnowany, nie naprzykrzał się rodzicom. Ale to nie spełnione marzenie dzieciństwa tkwiło w nim jak obsesja i nawet kiedy był już starszym panem i posiadaczem samochodu, dawał wyraz utajonemu żalowi na samo wspomnienie o rowerze.

Za naszym domem stał kurnik, a w nim było stadko kurcząt i kilka kaczek. Jaś szczególnie upodobał sobie czubatego kogutka, którego nazywał "Czubatką", brał go na ręce, głaskał i karmił okruszkami. Stałe dokarmiany przez Jasia kurak wcześniej od innych przybrał na wadze i dojrzał do swego przeznaczenia. Tak przynajmniej uważała gospoia. Kiedy wyszło na jaw, jakie to piecyste podano nam do stołu, wybuchła bucza. Jaś płakał i powtarzał, że Czubatka jeść nie będzie. Ja bez wahania go poparłam i przyłączyłam się do strajku. Matka bezskutecznie starała się nas przekonać, że kogutka hodowało się i tuczyło w tym celu, żeby go zjeść. Ale ojciec był innego zdania. I on też nie tknął piecystego, tylko z dobrotliwym uśmiechem powiedział: "My przyjaciół nie jadamy, prawda; synku?" Jaś skoczył ku ojcu, chwycił jego dłoń i przyłgął do niej ustami. W pocałunku tym zawarł nie tylko całą swoją miłość do ojca, ale coś znacznie więcej...

Z zadowoleniem powitaliśmy nasze następne miejsce zamieszkania - Nowo-Sokolniki. Była to nieduża stacja kolejowa, dookoła rozciągały się lasy i pola. Nie opodal domu przebiegały tory kolejowe, słychać było gwizd przejeżdżających lokomotyw i łoskot pędzących pociągów. W ogrodzie leżał olbrzymi kamień - meteoryt. Kamień ten stał się dla Janka punktem wyjścia do powieści "Gdy owoc dojrzewa". Zaczyna się ona szczegółowym opisem fotografii Jasia ze mną na tym właśnie kamieniu. Obok leżała góra piachu, w którym Jaś lubił kopać tunele i budować fortece.

Działo się to w 1905 roku - grzebaliśmy się w śniegu koło ulubionego kamienia. Ulepiliśmy bałwana, a Jaś potem zaczął kopać dołek. Raptem pod łopatką coś zgrzytnęło, jak gdyby natrafiła ona na metalowy przedmiot. Zabraliśmy się więc razem do kopania. Śnieg był twardy i Jaś aż zasapał się z wysiłku. Nagle spod ubitego śniegu wyłoniła się żelazna skrzynka pełna naboju. Obok leżał owinięty w ceratę karabin. Jaś pomknął jak strzała do domu, wołając: "Mamo, skarb znalazłem, skarb!" Mama niezwłocznie pobiegła za nim do ogrodu, szybko zwała bałwana, zasypała miejsce znaleziska i rzekła do Jasia: "Pamiętaj, nikomu ani słowa, bo tatuś może mieć duże przykrości. Daj mi słowo, że o skarbie ani mru-mru". Jaś przyrzekł solennie, dumny z powierzonego mu sekretu. Gdy ojciec wrócił z pracy, pozbierał ukrytą w cóżnych kątach domu broń i wraz ze "skarbem" wszystko to zostało przeniesione w bezpieczne miejsce. Ojciec nie należał do żadnej partii, ale z przekonania był socjalistą i demokratą, przeciwnikiem wszelkiego ucisku i przyjacielem ludzi pracy. Właśnie pojechał służbowo do Wielkich Łuków, gdy gruchnęła wieść o wybuchu strajku na kolei. Pociągi przestały kursować. Kolejarze widząc, że ich naczelnik nie wrócił do Sokolników, wyprowadzili z depo lokomotywę i wyruszyli po ojca. Wkrótce przeciągły gwizd lokomotywy, przybranej gałązkami jedliny, obwieścił nam ich powrót. Ukazał się ojciec w otoczeniu oddanych mu ludzi. Na peron wyniesiono stół, wiele rąk uniosło ojca w górę i postawiło go na stole. Słyszeliśmy nowe dla nas słowa: "konstytucja", "rewolucja", "manifest". Ojciec rozpostarł manifest i odczytał donośnym głosem obietnice rządu dotyczące poprawy bytu, wolności słowa itp. Następnego dnia zjechała policja i zaczęły się

aresztowania, gdyż naczelnik stacji okazał się szpiclem i donosicielem. Ojciec został zwolniony z pracy, w dodatku usłyszał, że już nigdy nie wolno mu będzie objąć państwowej posady. A Jaś chodził z miną konspiratora i nucił pod nosem zasłyszaną gdzieś zwrotkę:

Car ispułgalsia - izdał manifest: Miortwym - swoboda, żywych pod arest.

Trzeba się było pakować i ruszać w nieznaną. Rodzice postanowili zamieszkać w Kijowie. I tak znaleźliśmy się w tym pięknym mieście tonącym w zieleni ogrodów i parków, z ulicami biegnącymi kapryśnie w górę i w dół. Z okien naszego mieszkania widać było Padoł - miejsce znane z corocznych Targów, dalej widać się połyskująca wstęga Dniepru.

Teraz oboje wychodziliśmy rankiem do szkoły. Ojciec otworzył biuro techniczne i zajął się sprawami handlowymi. Wkrótce jednak okazało się, że nie wystarcza być doskonałym inżynierem, aby prowadzić takie przedsiębiorstwo. Potrzebny jest spryt i brak skrupułów, umiejętność dawania łapówek, do czego ojciec nie był zdolny. W rezultacie zamiast zarobku ponosił straty. Rodzice żyli z dnia na dzień i nie mieli pewności, czy zdołają zapewnić nam byt i wykształcenie. W tej sytuacji ratowały nas przysyłane co pewien czas przez Mieńszykowa niewielkie sumy uzyskane ze sprzedaży placów.

Jaś w tym okresie miał już jedenaście lat. Stał się psotny i dokuczliwy, dawał mi się bardzo we znaki. Ciągnął mnie za warkocze. Kiedy zamiast odrabiać lekcje czytałam powieść, donosił matce, że się nie uczę. Nie pozostawałam mu dłużna. Ledwo dosłyszałam w progu jego skradające się kroki, darłam się jak opętana: "Ratunku, Jaś mnie wali!" Wtedy zjawiał się ojciec i z groźną miną mówił: "Ani się waż jej tknąć. Ona jest panienką i jest delikatna". Takie słowa działały na wisusa jak płachta na byka. Gdy ucichły kroki ojca, doskakiwał do mnie z furją, szturchał i dogadywał: "Jak jesteś taka delikatna, no to masz, to masz jeszcze!" Nawet kiedy szliśmy z rodzicami ulicą, nie przestawaliśmy się czubić za ich plecami. Na szczęście taki stan rzeczy nie trwał długo. W miarę jak dorastaliśmy, stosunki między nami ulegały poprawie i zaczęliśmy chodzić zgodnie do teatrów na niedzielne popołudniówki, na opery i inne przedstawienia.

Jaś uczył się dobrze. Bardzo lubił czytać. Początkowo pasjonował się kryminałami w popularnym wydaniu - przygodami Pinkertona lub Sherlocka Holmesa. Wkrótce jednak zaczął czerpać lekturę z obszernej biblioteki ojca, gdzie poza tomami naszych wieszczów, wierszami Asnyka i Ujejskiego, znajdowali się polscy i rosyjscy klasycy literatury, powieści Balzaka i Wiktora Hugo oraz wiele dzieł naukowych i encyklopedia. Jaś szczególnie lubił razem z ojcem czytać poezję. Ojciec miał dobrą dykcję i umiejętnie podkreślał piękno czytanego utworu, a chłopiec słuchał go z przejęciem. Kiedy zaczął interesować się historią, ojciec zapoznawał go z dziejami naszego narodu. Potem rozmawiał z nim na temat różnych ważniejszych wydarzeń historycznych. Gdy Jaś był już starszy, w centrum jego uwagi znalazła się postać Napoleona i jego epoka.

Minęło kilka lat od chwili, kiedy ojciec zaczął prowadzić swoje biuro, ale wciąż stanowiło ono dla niego źródło nie kończących się trosk. Nie pomagało rozsyłanie reklam, ogłoszeń. Próbował wprowadzić na rynek odkurzacze, liczniki do dorożek, wreszcie maszyny do pisania. W końcu pracownik, któremu ojciec polecił zawieźć do pewnej firmy zamówione maszyny, ulotnił się wraz z nimi i ślad po nim zaginął. Był to dotkliwy cios. Matka pochorowała się poważnie ze zmartwienia. Żyliśmy w cieniu smutku naszych rodziców i nawet beztronski Jaś jakoś przygaś. Ojciec nie widział już w Kijowie możliwości zarobkowania i powziął złudną nadzieję otrzymania pracy w Warszawie. Nadeszły ponure dni, kiedy nasze meble, obrazy i książki zostały umieszczone w skrzyniach i oddane na przechowanie do składu. Rzeczy te w rezultacie przepadły, gdyż rodzice nie byli w stanie opłacać składowego ani nie mieli ich dokąd zabrać. Czekala nas bezdomność, długotrwała poniewierka i wegetacja. I tak było aż do wojny, która przyniosła nowe problemy i zmiany w naszym życiu.

Nasza sytuacja po przybyciu do Warszawy była godna pożałowania. Poza rzeczami osobistymi nie mieliśmy nic. Matka wynajęła jeden pokój u ciotki Marii przy ul. Czackiego 8. Dla ojca zabrakło tu kąta, sypiał więc u ciotki Gustawy. Staliśmy się ubogimi krewnymi i poznaliśmy gorzyc ludzi zmuszonych do korzystania z pomocy zamożnej rodziny. Pocciwy wuj Benedykt zatrudnił ojca w filii swego biura w Lublinie na bardzo skromnych warunkach, bo i pracy nie było tam wiele. Odwiedziliśmy go w nędznym kantorku, gdzie wegetował samotnie, i przygnębienie nasze nie miało granic. Matka rozchorowała się na żółtaczkę i przez kilka tygodni nie opuszczała łóżka. W tej sytuacji ojciec wrócił z Lublina i wraz z nami opiekował się chorą. Wreszcie sprowadził wziętego w owym czasie chirurga, dr. Leśniowskiego, który oświadczył, że konieczna jest operacja. Uprzedził jednak, że ze względu na ciężki stan istnieje jedna szansa na sto, iż zabieg się uda. Wtedy ojciec zwrócił się do nas, abyśmy zdecydowali, co robić. Bez wahania wypowiedzieliśmy się za operacją. Nie zważając na oburzenie pielęgniarki i ciotek, że nie pozwalamy matce spokojnie umrzeć, zawieźliśmy ją do "Omegi". Opeacja dała dobre wyniki i matka żyła potem jeszcze dwadzieścia lat.

Kiedy wróciła z lecznicy do domu, ojciec przyniósł jej wiązankę róż - wydał tu nie ostatnie pieniądze. Matka ucałowała go i rzekła: "A ja też dla ciebie coś mam" i położyła przed nim dużą kopertę pełną

pieniędzy. Była to przekazana przez Mieńszykowa spora kwota za sprzedaż kolejnego placu. Wstąpiła w nas otucha i wróciła dawna radość życia, zwłaszcza że Kazimierz Sunderland dzięki swoim stosunkom wyrobił ojcu posesję w fabryce kotłów parowych w Ługańsku, mieście położonym na południu Rosji. Termin objęcia pracy miał być wkrótce ustalony.

Janek nie tracił czasu i uczęszczał do gimnazjum Jeżewskiego. Zmężniał, stał się ładnym i zgrabnym chłopcem, również głos mu się zmienił. W obszernej jadalni cioci Mani zbierało się wieczorami sporo osób, gdyż stale odwiedzali ją różni znajomi i krewni. Z drugiego piętra przychodzili Zosia i Antek. Mimo różnic wieku, młodzież doskonale bawiła się razem, a Janek nazywał to towarzystwo "Wielkim Pensjonatem" i napisał "poemat" satyryczny, w którym trafnie i dowcipnie przypinał każdemu łatkę. Lubił też deklamować wiersze naszych wieszczów - chętnie go słuchano. Właśnie zaczytywał się utworami Krasińskiego, "Irydiona" znał na pamięć. Wkraczał np. do pokoju niczym aktor na scenę, spowity w prześcieradło, jak w togę. Miał obnażone ramiona, gładkie i pulchne jak u dziewczyny. Oczy mu płonęły, gdy głośno, wyraziście i namiętnie wołał: "Zmijo, którą kocham, czego żądasz więcej?... Furie rozdierają członki moje... Położę się na stopniach ołtarza i całować będę palce białych stóp twoich..." W zapamiętaniu wcielał się w Heliogabala i przeżywał jego miłosne uniesienia. Słuchacze, początkowo roześmiani i ubawieni widokiem jego odstonytych wdzięków i pozy aktora, stopniowo dali się porwać magii poezji i spoważnieli, zastłuchani. Gdy przebrzmiały ostatnie słowa kwestii, ocknęli się nagle, posypały się żarty, dowcipy, poklepywania, zaglądnienia pod prześcieradło... I wszystko znów stało się zwyczajne.

Niebawem przeżywał nowe emocje. Na czwartym piętrze mieszkała daleka krewna matki, Zosia L. Miała trzech synów, czwarty był w drodze. Jej mąż traktował ją brutalnie i zdradzał, czego wcale nie ukrywał. Ładną twarzyczkę Zosi o delikatnych rysach zdobiły duże, ciemne oczy zranionej łani. Zwierzała się Jankowi ze swoich zmartwień, a on, zawsze wrażliwy na ludzkie cierpienia, wzruszał się jej niedolą i starał się dodać jej otuchy, a może nawet się w niej zadurzył. Pomagał jej opiekować się chłopcami. Z jednym odrabiał lekcje, drugiego wyprowadzał na spacer, mitygował ich, gdy zbyt łobuzowali. A że już zaczynał tworzyć swoje pierwsze, nieporadne jeszcze liryki, pisał i dla niej wiersze, które dawał mi do czytania. Pamiętam taką strofkę pełną egzaltacji: "Nie zapomnisz mnie nigdy, chociaż lata przeminą. Słowa moje dla ciebie będą pieśnią jedyną". Tymczasem matkę niepokoiło częste wymykanie się chłopca z domu i niedbale odrabianie lekcji. Powiedziała, że stanowczo nie życzy sobie, żeby nadal odwiedzał Zosię i czas przeznaczony na naukę tracił na pilnowanie cudzych dzieci, które przecież mają rodziców. Dodała, że zbliża się koniec roku szkolnego, wkrótce przyjeżdża ojciec z Ługańska i byłoby mu przykro, gdyby chłopiec miał złą cenzurę. Janek niechętnie przyjął argumenty matki i sarknął na jej surowość, ale nie mógł nie przyznać jej słuszności w końcu. Zresztą myśli jego były już zaprzątnięte przyszłymi podróżami. Miał z ojcem wrócić do kraju swego dzieciństwa i tam przeżyć kilka lat w zupełnie nowej scenerii.

Przyjaźń z Zosią posłużyła Jankowi za motyw do epizodu opisanego później w noweli pt. "Quasi una fantasia".

Nastał rok 1914. Świat był pełen konfliktów i problemów. Ojciec, czytając prasę codzienną, powiedział któregoś dnia: "To pachnie wojną światową". Minęło kilka miesięcy, gdy został podpalony lont w Sarajewie. Nad Warszawą ukazały się niemieckie zeppelin-y w kształcie cygar. Ulicami maszerowały oddziały poborowych, podążały tabory wojskowe na front. Rodzice z Jankiem wybierali się do Ługańska, a ja szykowałam się do ślubu i miałam jechać z mężem do Piotrogradu, gdzie objął swoją pierwszą posesję po ukończeniu studiów. Przed wyjazdem poszliśmy pożegnać ciotkę Gustawę z rodziną. W saloniku zebrało się sporo osób. Był wśród nich jej syn Rudolf, powołany do wojska, a z nim jego piękna żona, Lola. Rozmawiano o wojnie i nastrój był raczej minorowy. Nie brakowało tu również Leśmiana, który adorował Lolę, dowcipkował i starał się ją rozweselić. Mówił, że jego pierwszy w życiu afekt miłosny był skierowany do karmiącej go mamki, ponieważ miała bardzo ładny i ponętny biust. Lola uśmiechnęła się z przymusem, gdyż bolał ją ząb, i powiedziała: "Zamiast pleść głupstwa, przyniósłbyś mi trochę spirytusu na ten ząb, bo dłużej nie wytrzymam". Bolek zerwał się i wybiegł z domu. Niebawem wrócił, dźwigając pięciolitrową butlę, tak zwaną "suleję", denaturatu, używanego do prymusów, i postawił ją przed Lolą. Widok drobnej osoby Leśmiana z tą ogromną butlą był tak groteskowy, że nawet znękana Lola wybuchnęła śmiechem. Śmieliśmy się wszyscy, zapominając na chwilę o grozie wojny.

Mieszkałam już z mężem w Piotrogradzie, kiedy ojca oddelegowano z Ługańska do Kazania. Rodzice z Jankiem znów udali się w podróż. Drogę odbywali statkiem, płynąc Wołgą z południa na północ. Janek całe bogactwo wrażeń z tej podróży wyraził w poemacie pt. "Wołga", który rodzicom i mnie bardzo się podobał.

Z początkiem roku szkolnego Janek przyjechał do Piotrogradu, ponieważ rodzice życzyli sobie, aby tam kończył gimnazjum. Prosimi, żebym z pomocą męża wynajęła mu umeblowany pokój. Chodziliśmy więc od bramy do bramy i przeglądaliśmy ogłoszenia. W końcu wydało nam się, że jesteśmy u celu.

Pokoik był schludny i niedrogi. Po obu stronach korytarza widniało kilkoro drzwi. Gospodyni uprzejmie zapewniła nas, że zaopiekuje się chłopcem. Po odprowadzeniu Janka na miejsce przeznaczenia wróciliśmy z miłym poczuciem dobrze wypełnionego zadania. Niestety, następnego ranka zjawił się nasz podopieczny ze swą walizką w ręku. Był zły, zmęczony i niewyspany. Z przerażeniem słuchaliśmy jego relacji z minionej nocy. Okazało się, że lokal, w którym nieopatrznie umieściliśmy go, był po prostu domem publicznym. Przez całą noc "dziewczynki" dobijały się do drzwi które Janek zamknął na klucz i zabarykadował meblami. Dopiero po paru dniach znaleźliśmy dla niego odpowiedni pokój.

W chwilach wolnych od nauki nawiązał trochę znajomości, a że był dobrze ułożony, rozwinięty fizycznie i umysłowo, traktowano go już jak dorosłego mężczyznę, co niebawem miałam okazję stwierdzić. Przyszedł do mnie pewnego dnia przygnębiony i po krótkim wstępie wyznał, że zgrał się w karty. "Sprawa honorowa, ratuj". Przyrzekł solennie, że już nigdy więcej nie ulegnie magii kart. Nie miałam własnych pieniędzy, zaniósłam więc do lombardu swój złoty zegarek i w ten sposób honor Janka został uratowany.

Ale na tym nie skończyły się kłopoty finansowe, gdyż życie towarzyskie, jakie Janek prowadził, pociągało za sobą wydatki. Chciał pod względem elegancji dorównać innym panom, więc w tajemnicy przede mną sprawił sobie modny w owych czasach żakiet. Wydał na ten zakup pieniądze, które rodzice przysłali mu na utrzymanie, i został bez środków do życia. Radził sobie w ten sposób, że jadał przegodnie: na przyjęciach u znajomych, w niedziele i święta u mnie, a w dni powszednie chodził do studenckiej stołówki, gdzie chleb z sosem można było jeść za darmo. Tam właśnie go spotkałam, gdy ze smętną miną zjadał ten marny obiad. Wszystko się wydało i znów musiałam go wyciągać z biedy. Po zdaniu przez Janka matury pojechaliśmy do rodziców. Rodzice zajmowali w Kazaniu dwa umeblowane pokoje i cieszyli się, że mają nareszcie zapewnioną egzystencję. Przyjęli nas z radością i ojciec, jak dawniej, nucił od rana swoje "param-pam-pam". Wraz z rodzicami zwiedzaliśmy Kazań aż po samą przystań na Wołdze, a wieczorami zasiadaliśmy wokół stołu i ojciec na zmianę z Jankiem czytali głośno, zaczynając od "Wesela", które w czasach wojennej zawieruchy i z dala od Polski miało dla nas szczególny wydźwięk. Po powrocie do Warszawy ofiarowaliśmy rodzicom tom "Wesela" z dedykacją: "Kochanym Staruszkom na pamiątkę wspólnych wieczorów w Kazaniu. Jaś i Hala". Po Wyspiańskim przyszła kolej na utwory Oscara Wilde'a. Zafrapowani osobowością i twórczością tego autora, czytaliśmy jedno po drugim jego dzieła. Talent Wilde'a, jego błyskotliwość, w zestawieniu z okrutnym losem, jaki mu zgotowało angielskie społeczeństwo i rodzina, wszystko to poruszało nas do głębi. Szczególną reakcją można było zauważyć u Janka. Trudno mi wytłumaczyć, jak i kiedy dokonała się w nim przemiana. Dość, że zewnętrznie upodobił się do ulubionego pisarza. Nie tylko uczesanie, ale nawet zarys ust i spojrzenie spod ciężkich powiek były jakby takie same. Potwierdzała to jego fotografia z tamtego okresu, jak również spostrzeżenia wielu osób. Szkoda, że to zdjęcie zaginęło podczas Powstania.

W Kazaniu Janek stale bywał w polskim klubie, gdzie zbierała się tamtejsza polonia. Spotykał się tam z Remigiuszem Kwiatkowskim, któremu pokazywał swoje wiersze. Poeta zainteresował się bratem, uważał, że ma talent, i zachęcał do dalszej pracy.

Na początku roku szkolnego Janek zapisał się na uniwersytet (wydział weterynarii), ale gdy doszło do krajania żab, przerwał studia.

Wojna miała się ku końcowi, front rozłaził się w szwach. Zbliżały się nowe czasy. Coraz wyraźniejsza stawała się wizja wolnej Polski. Rodzice robili starania związane z powrotem do kraju, chcieli jak najprędzej opuścić Kazań. Raptem matka odkryła, że Janek otrzymuje miłosne listy i wymyka się chyłkiem z domu. Przyciśnięty do muru przyznał się, że pewna Rosjanka, mająca zresztą dwoje dzieci, której mąż przebywał na froncie, zakochała się w nim i często go do siebie zaprasza. Jaś zawrócił nią sobie głowę i był zdecydowany na wszystko. Wtedy matka odbyła z nim poważną rozmowę i roztoczyła groźną wizję przyszłości, jaką mógł sobie nieopatrznie zgotować. Jeśli da się uwikłać w ten romans, wsiąknie, zostanie w Kazaniu i pogrzebie wszystkie nadzieje na nowe życie w wolnej Polsce. Słowa te poruszyły wyobraźnię Janka, chłopak przeraził się nie na żarty. Wziął się w garść i przestał odwiedzać uwodzicielkę. Po kilku dniach przyszło dziecko z liścikiem, który Janek otworzył w obecności matki. Przeczytali razem słowa: "Jasja, jeśli wy nie prijdiotie, ja ubijuś". Odpisał na nie: "Ja bolsze nie prijdu. Ni siewodnia, ni zawtra, nikogda nie prijdu". Tak zakończyła się niebezpieczna gra w miłość.

Do Piotrogradu wracałam sama. Janek na razie został z rodzicami. Dopiero po upływie dwóch lat miałam spotkać się z nim w Warszawie, dokąd przyjechał w 1918 roku. Rodzice wkrótce po nim, po wielu tarapatkach, dotarli do Polski i zamieszkali w Radomiu, gdzie ojciec dostał pracę w Dyrekcji Kolei Państwowych. Ja z mężem i synkiem wyjechałam z Rosji towarowym pociągiem wraz z grupą Polaków. Po sześciu tygodniach tułaczki w poszukiwaniu granicznego przejścia dotarliśmy przez Wołoczysk do polskiej granicy i udało się nam ją przekroczyć. Na tle grudniowego nieba ujrzeliśmy

sylwetkę żołnierza w rogatywce, na koniu. Stał nieruchomo - symbol upragnionej Polski. A daleko za nami zostały udręki i groza niszczycielskiej wojny domowej.

Na dworzec przyjechali po nas wuj Benedykt z Antkiem. Znaleźliśmy się w innym świecie, wśród naszych bliskich, półprzytomni ze zmęczenia i radości. Kazano nam natychmiast zdjąć z siebie nędzne łachmany, które służąca z odrazą wrzuciła do pieca. Po kąpieli, ubrani w czystą bieliznę i odzież, zasiedliśmy do suto zastawionego stołu. Byli tam rodzice i Janek, który barwnie i z humorem opowiadał, jak brał udział w rozbrajaniu Niemców. Po kolacji Janek i Antek śpiewali "O mój rozmarynie" i inne żołnierskie piosenki. Potem nastąpiły rozmowy, którym nie było końca.

Po przyjeździe do Warszawy Janek zapisał się na wydział prawa Uniwersytetu Warszawskiego. Polska kształtowała właśnie swoją państwowość, powstawała armia. Janek, zgodnie ze swoim temperamentem, nie pozostawał na uboczu, lecz z młodzieńczym zapałem włączył się w nurt porwijących wydarzeń. W 1918 roku przerwał studia, by wraz z grupą studentów wstąpić na ochotnika do nowo utworzonego 36 Pułku Piechoty Legii Akademickiej, idącego na odsiecz Lwowa. Brał więc udział w kampanii lwowskiej.

Dowiedzieliśmy się, że sytuacja mieszkaniowa w Warszawie jest bardzo trudna. Całe szczęście, że matka zarezerwowała dla nas dawny pokój u ciotki Marii przy ul. Czackiego - wraz z mężem i synkiem mieszkaliśmy tam przez szereg lat.

Ledwo zatarły się trochę wspomnienia o wojnie, gdy nastał rok 1920. Janek znów wyruszył na front. Znając jego artystyczną, wrażliwą naturę, uмиłowanie poezji i humanitaryzm, mogę się domyślać, że wcale nie pociągały go okrutne, krwawe potyczki i triumfy bitewne. Ze wszystkich rodzajów oręża najlepiej władał piórem. Dobrze się więc stało, że przydzielono go do redagowania gazety frontowej i organizowania imprez kulturalno-oświatowych dla żołnierzy.

Po skończonej wojnie Janek wrócił do Warszawy w stopniu sierżanta sztabowego. Kontynuował studia na Uniwersytecie Warszawskim i zarabiał na życie pisując pod pseudonimem Szer-Szeń teksty piosenek i skecze dla kabaretów literackich. W końcu lat dwudziestych za udział w kampaniach lwowskiej i kijowskiej został odznaczony Medalem Niepodległości.

Z doświadczeń wojennych brat wyniósł uмиłowanie "Dziadka". W uczuciach tych nie był odosobniony, gdyż większość współczesnych mu Polaków darzyła Piłsudskiego niekłamanym sentymentem. Gdy Marszałek rzekł się władzy i zamieszkał w ofiarowanym mu przez wdzięczne społeczeństwo domku w Sulejówku, 19 marca ściągali tam tłumy pragnące uczcić dzień jego imienin. Posuwaliśmy się w długiej kolejce aż do holu, gdzie każdy wpisywał się do księgi życzeń. Pan domu stał obok, w swym szarym mundurze, bez orderów ani odznaczeń, i po kolei zamieniał z każdym uścisk dłoni.

Kiedy wyszła z druku pierwsza książka Janka pt. "Oblicza zmyślane", zapragnął przesłać ją w hołdzie Marszałkowi. Na pierwszej stronie zamiast dedykacji napisał odręcznie wiersz o jego córkach.

Niebawem adiutant Marszałka przyniósł tom jego wspomnień pt. "Moje pierwsze boje", z dedykacją: "Janowi Brzechwie - J. Piłsudski, 6/8.26". Po śmierci "Dziadka" został wydany przez J. Mortkowicza tomik pt. "Imię Wielkości", na który składało się dziesięć wierszy brata o Piłsudskim, nigdzie poza tym nie drukowanych.

W czasie pełnienia służby wojskowej w Warszawie przydarzały mu się niemiłe przygody. Kiedyś na przykład otrzymał rozkaz odprowadzenia kilku koni do innej jednostki wojskowej. Na Krakowskim Przedmieściu konie rozbiegły się w różne strony i przechodnie pomagali mu je łąpać.

Kiedy indziej stał na warcie pod Belwederem. Mijały jałowe godziny. Myślami bujał w obłokach, gdy w pobliżu dały się słyszeć kroki. Ocknął się z zadumy i miał zapytać o hasło, ale zapomniał jego brzmienia. Aby ratować sytuację zawołał raz po raz: "Padnij, powstań! Padnij, powstań!" Oczywiście, nie ominęła go paka.

Gdy Janek powrócił do cywila, Celina oddała mu swoją pracownię malarską przy ul. Marszałkowskiej 148. Piętro niżej mieszkała wielka miłośnica Leśmiana - Dora Lebenthal. Zaprzyjaźniony z obiema kobietami i otoczony ich serdeczną opieką, Janek spędzał u nich wolne chwile. W 1924 roku zaczął aplikować w kancelarii adwokata Jana Fidlera.

Leśnian często przyjeżdżał z Zamościa i zatrzymywał się u Dory. Była to dla Janka okazja do zbliżenia z Leśmianem, którego podziwiał i uwielbiał za jego talent. Kiedy Janek dał mu do przeczytania swoje przywiezione z Rosji młodzieńcze wiersze, Bolek ocenił je bardzo krytycznie. Radził je spalić i zacząć pisać od nowa. Za jego też poradą brat podpisywał swe utwory jako Brzechwa i już do końca życia został Brzechwą.

Okolo 1922 roku odbył się w Filharmonii Warszawskiej wieczór futurystów. Brał w nim udział także Bruno Jasieński. Janek wyszedł na estradę i zadeklamował kilka swoich wierszy. Poza tym Kazimiera Rychterówna recytowała jego "Express", gorąco oklaskiwany. Tyle tylko zachowało się w mojej pamięci szczegółów z tamtego wieczoru.

Gdy przyjeżdżał Bolesław, dom Dory się ożywił. Przychodzili znajomi Bolka, a także lekarze - koledzy Dory. Odbывały się wówczas wielkie przyjęcia, bawiono się i tańczono. Janek brał żywy udział w tych

zebraniach. Każdy z biesiadników miał obok swego nakrycia przygotowaną przez Janka karteczkę z okolicznościowym wierszykiem. Kartka przy nakryciu Dory zawierała słowa: "We wszystkim tak dokładna, że wnet się połapiesz. Ma jedna zawsze rację, prócz niej - czasem papież. Tańczy jak Terpsy-chora, a pije jak zdrowa. Na złość wszystkim lekarzom niech mnie boli głowa". Pewnego razu było na obiedzie u Dory kilku studentów Francuzów. Nie rozumieli ani słowa po polsku. Siedzieli obok Janka i stale sięgali po jego papierosy. Wreszcie trochę zniecierpliwiony rzekł półgłosem: "Cudze palicie, swoich nie macie, sami nie wiecie, co oszczędzacie". Oczywiście nic z tego nie zrozumieli. Odczuwaliśmy dotkliwie rozłąkę z rodzicami, oni też za nami tęsknili, zwłaszcza że w Radomiu byli zupełnie sami. Przyjeżdżali do Warszawy na niedziele i święta bardzo zmęczeni drogą i obładowani przysmakami dla nas. Żał nam było staruszków, że mają trudne życie. Te spotkania były dla nas wszystkich wielką radością. Oboje z Jankiem, już przecież dorośli, siadaliśmy na kolanach ojca jak za dawnych lat i gawędziliśmy o nagromadzonych sprawach. Janek był jeszcze na studiach, kiedy ojciec sprawił mu smoking. Słicznie w nim wyglądał, smukły i urodziwy. Ojciec wodził za nim spojrzeniem pełnym czułości. Byliśmy wszyscy razem tacy szczęśliwi! Nie przeczuwaliśmy wtedy, że zbliża się najgorsze, co mogło nas spotkać. Ojciec ciężko zachorował. Przyjechał z matką do Warszawy do lekarza, który stwierdził daleko posuniętą sklerozę nerek. Zgodnie z jego zaleceniem wywieźliśmy ojca na lato do Radości. Kilka miesięcy trwała walka o jego życie. Mimo największych wysiłków lekarzy nie udało się ojca uratować - we wrześniu odszedł od nas na zawsze. Cios ten ugodził nas głęboko. Obawialiśmy się o matkę - rozpacz jej nie miała granic. Gdy napotykała na jakiś przedmiot należący do ojca, osuwała się na ziemię zemdlona. Otoczyliśmy ją serdeczną opieką, nie spuszczaaliśmy jej z oczu. Zamieszkała z nami na Czackiego w sąsiednim pokoju. Dźwignęła się na duchu z miłości do nas. Przeżyła męża o osiem lat.

Janek długo nie mógł przeboleć utraty ojca, cierpiał i tęsknił. Napisał wtedy wiersz pt. "Ojciec".

Pierwsze jego strofy brzmiały:

Nieżywe, smutne słowa: "Mały Jaś" Mów do mnie znów jak dawniej. Światło zgaś, Chcę z tobą być jak dawniej sam na sam, By dobrze tak jak dawniej było nam...

Cała nasza osierocona trójka - matka, Janek i ja - wspierała się i garnęła do siebie wzajemnie, by łatwiej dźwigać ciężar świeżej żałoby. Mijały dni i miesiące. Najlepszy lekarz - czas pomagał zablźnić się ranie.

Nasza matka wykazała duży hart ducha. Aby rozproszyć swój smutek i wypełnić nadmiar wolnego czasu, postanowiła udzielać lekcji języka francuskiego, którym doskonale władała. W tym celu opracowała własną metodę nauczania i dawała odpowiednie ogłoszenia w prasie. Chętnych do nauki okazało się nadspodziewanie dużo. Matka umiejętnie dobierała uczniów i organizowała komplety. Lekcje te cieszyły się ogromnym powodzeniem, co dawało matce poza sarysfacją moralną niezły zarobek. Było to nie do pogardzenia, ponieważ emeryturę po mężu otrzymała bardzo skromną. Janek miał już daleko poza sobą sielskie dzieciństwo i uroki wczesnej młodości, spędzone pod czułym okiem rodziców. Wchodził w wiek męski, udziałem jego miało być wiele szczęścia i goryczy, sądzone mu było poznać smak sukcesów i klęsk. Ale to już całkiem inna historia...

K O N I E C

ukcesów i klęsk. Ale to już całkiem inna historia...

K O N I E C
